

ZDZISŁAW CACKOWSKI

Warząchewka – Włocławek – Moskwa – Paryż

Warząchewka – Włocławek – Moscow – Paris

Kilka słów o sobie w związku z Warząchewką: Tam się urodziłem. Czy to jednak takie ważne? Czy to mi daje jakieś prawa? Chyba nie. Czy z tego wynikają jakieś moje obowiązki? Chyba jednak tak. Prawa i obowiązki są ze sobą związane, ale pełnej symetrii tu nie ma.

W czwartym (?) roku życia wyjechałem z Warząchewki do Szpitala Górnego. Ale w Warząchewce pozostała rodzina mojej mamy (Szubscy), z którą wiązały mnie o wiele cieplejsze uczucia niż te, którymi byłem związany z rodziną od strony ojca – bliższą przestrzennie (Górny Szpetal), ale dalszą na linii uczuć. Linia uczuć łącząca mnie z Warząchewką była długo gorąca. Oczywiście, z czasem musiała nieco ostygnąć, ale ślad ciepła pozostał. Kujawy (a ciągle uważam się za Kujawiaka, lubię tańczyć i śpiewać) kojarzyły mi się z Warząchewką. Ale Warząchewka kłóciła mi się też z Kujawami, bo gdy przeczytałem (chyba w szkolnym elementarzu), że „Na Kujawach nic nie braknie, tylko drewek każdy łaknie”, to pojąć nie mogłem, bo w Warząchewce brakowało wszystkiego, tylko drewek było pod dostatkiem. Warząchewka była wsią biedy i niedostatku; a jak teraz? Dostatek drewek był z lasu (z „boru”), nie zawsze legalnie, popytajcie o to starszych. Pamiętam, że izba szkolna mieściła się w murowanym („WIELKIM!”) domu Szubskich, może jeszcze stoi ten „wielki” dom; po wojnie go widziałem, tak bardzo zmalał! Sądzę, że dość dużo o kolorycie życia w dawnej Warząchewce i okolicach możecie się dowiedzieć z I. Newerlego *Pamiętki z celulozy* (dużo tam prawdy o dawnych czasach znajdziecie).

Jeżeli po pierwszej zawartej ze mną znajomości się nie zniechęcicie do mojej osoby, to proszę o dalsze pytania. Będę się starał na nie odpowiadać.

DWA ROZDZIAŁY WSPOMNIENÍ ZE SZKOŁY PODSTAWOWEJ

Rozdział pierwszy, to 2 (chyba) lata szkoły podstawowej w Nasiegniewskich Budkach. To jakieś 4 kilometry od Szpetala Górnego w kierunku Dobrzyń. Mam z tej szkoły dziecięco rozczulające wspomnienia, ale bez żadnych, prawie żadnych, konkretnych szczegółów (czy szczegół może być niekonkretny, jak sądzicie?), chociaż pamiętam oboje (bo więcej nie było) nauczycieli – panią Helenę (?) i pana Stanisława Walczaków.

Między rozdziałem pierwszym a następnym (drugim) była okupacyjna pauza na wsi, w Szpitalu Górnym – bez szkoły, bez żadnej nauki, tylko robota w polu i w domu (w domu uczestniczyłem w opiekowaniu się dwiema młodszymi siostrzyczkami). W domu była jedna jedyna (wstyd, ale to prawda; oczywiście, nie licząc książeczek do nabożeństwa) książka: *Don Kichot* Cervantesa. Czytałem więc ją i czytałem, czytałem (gdy mama była w polu, a ja w domu) głośno. Ktoś, kto wtedy obok chaty naszej przechodził, dziwował się, że Zdzichu sam ze sobą gada!

Rozdział drugi, dość śmieszny, czyli kilka dni w III, IV i V klasie szkoły podstawowej w Szpetalu Dolnym (to przedmieście Włocławka, o czym z pewnością wicie). Kilka dni w trzech klasach? Zapisalem się do trzeciej, bo przed wojną ukończyłem dwie i w istocie rzeczy, jak dzisiaj to widzę, byłem półanalfabeta. W I klasie Pani chciała się zorientować, co to za uczniowie się w III klasie zebrali, więc zapytała, ile jest tyle a tyle dodać tyle, na co ja – byłem dość bystry – a tyle! Po tej próbie Pani zdecydowała, żebym się przesiadł na ławki klasy IV, bo obie klasy zajmowały jedną salę (klasy łączone). Na drugi dzień byłem już zatem w IV klasie, ale egzamin jakby trwał dalej: ile jest tyle a tyle razy tyle, a ja szybko – a tyle! I znowu promocja do następnej, V tym razem, klasy. Właśnie w klasie V przydał się *Don Kichot*. Gdy Pani zapytała, czy ktoś czytał jakąś książkę i potrafi opowiedzieć, to ja się zerwałem i na pamięć. Musiało to wywołać nie lada podziw i – rzecz jasna – promocję do klasy VI.

Na tym cuda się skończyły i klasę VI przerabiałem już w czasie „przyzwotym”, czyli do końca roku szkolnego (od marca do czerwca 1945 r., aż 3 miesiące!). Jednocześnie dojrzewała i u mnie i w sercach rodziców, perspektywa i nadzieja na szkołę średnią – gimnazjum, a może i liceum, co jawiło się nam jako szansa niezwykła, bo mierzona przyzwyczajeniami przedwojennymi, dla których nauka chłopskiego dziecka w gimnazjum była raczej rzadkością. Więc teraz dojrzewała ta nowa perspektywa, która niebawem przeobraziła się nawet w perspektywę studiów wyższych. A już niezwykłością niezwykłości, nawet bezczelnością okazało się to, że przedmiotem studiów wyższych miała się stać filozofia.

Dzisiaj na ten wybór nie mam powodu narzekać, a z upływem lat coraz bardziej utwierdza się moje przekonanie, że taki wybór był – wtedy! – głupotą i skandalem. Myślę tak teraz dlatego, że w moim ówczesnym wiejskim środowisku rodzice (moi i nie tylko moi) cenili wiedzę i wykształcenie, cenili tym bar-

dzieci, im bardziej im samym tej wiedzy i wykształcenia brakowało. Marzyli więc o kształceniu swoich dzieci, ale te aspiracje miały motywy praktyczne. Chodziło głównie o to, by dzieciom w przyszłości żyło się łatwiej, by przez wiedzę wydobywały się z wiejskiej biedy i poniżenia, żeby „na księdza” albo „na oficera” („będą ci inni buty czyścić”), albo jeszcze, choć rzadziej (o wiele rzadziej!), „na inżyniera”... Słowem, chodziło o względy praktyczne – przez wykształcenie do łatwiejszego i godziwszego życia.

A tu padło na filozofię, coś niewiadomego, coś od życia oderwanego. Skandal, faktycznie skandal, tak myślę obecnie. Ale stop, przerywam tę drogę na studia, bo jeszcze za wcześnie, teraz jestem dopiero w drodze do gimnazjum, a właściwie jeszcze nie, bo w klasie VI, choć już myśl o gimnazjum zaczęła się w głowach naszych (rodziców i mojej) kołatać i dorastać.

Wtedy się dowiedziałem, że gdyby się miało opanowany program klasy VII, to byłyby szanse dostania się do II klasy gimnazjum. Więc rada w radę rodzice zdecydowali i zacząłem się przygotowywać, korzystając z korepetycji, które dotyczyły: języka polskiego, łaciny, historii, francuskiego, matematyki. Polskiego, łaciny i historii (zwłaszcza starożytnej) uczyła mnie jedna osoba, bardzo kompetentna; matematyki i francuskiego uczyłem się u innej osoby, która pięknie uczyła francuskiego, natomiast z matematyką sama miała elementarne kłopoty.

W każdym razie w lutym 1946 r. zgłosiłem się do Pana Dyrektora Gimnazjum Ziemi Kujawskiej (GZK) Stanisława Sobczaka z prośbą o dopuszczenie do próby, która miała zadecydować o moim losie jako ucznia klasy II. Zapytał, czy jestem przygotowany. Odpowiedziałem – Sądę, że tak. Tę odpowiedź pamiętam dokładnie, podobno się Dyrektorowi spodobała. Pewnego dnia wprowadził mnie więc do klasy (byłem w butach z cholewami, niskiego wzrostu, żeby nie powiedzieć – konus), a z klasy powitał mnie ironiczny zachwyt – O jaki ładny! To było powitanie Zbyszka S. (obecnie mieszka w Lublinie i jest pracownikiem naukowym mojego Uniwersytetu). Ale nie spieszyłem się zbytnio. Egzamin zakończył się pomyślnie: z łaciny i francuskiego byłem przygotowany, z religii (też był egzamin) pacierz trochę poplątałem, ale tylko z powodu zdenerwowania, natomiast egzamin z geometrii był żalony, bom nic nie wiedział i nic nie rozumiał.

W każdym razie zostałem przyjęty; klasę II ukończyłem ledwie ledwie, bo z matematyki chyba miałem dwóję, albo tróję z łaski. Ale już klasę III ukończyłem jako uczeń zdecydowanie dobry ze wszystkich przedmiotów, a zwłaszcza z matematyki. Klasę IV natomiast ukończyłem z ocenami dobrymi i bardzo dobrymi, a z matematyki byłem wyróżniony.

W ten sposób w 1948 r. zacząłem naukę w I klasie liceum (LZK). Istniały wtedy 3 specjalizacje licealne: humanistyczna, przyrodnicza i matematyczno-fizyczna. Ja się znalazłem w klasie humanistycznej, w której łącznie było 9 uczniów (a może ze 2 więcej).

Ze szkoły swojej – GZK/LZK – byłem i jestem dumny. Z upływem czasu to moje uznanie dla GZK rosło i ciągle rośnie.

Osobistościami w gronie nauczycielskim byli: prof. Włodzimierz Gniazdowski, polonista doskonały, surowy i wymagający, ale szczególną racją jego wielkości był stworzony przezeń teatr szkolny, którym byłem zauroczony i z którego byłem dumny, choć sam aktorem nie byłem. W teatrze naszym wystawiano: *Zemstę* Fredry, *Wesele* i *Warszawiankę* Wyspiańskiego, Mickiewiczowskie *Dziady*. Tych sztuk nie mogę do dzisiaj oglądać w innych teatrach, bo – moim zdaniem – nie dorastają do naszych inscenizacji. Jedynym wspaniałym wyjątkiem jest *Wesele* (film) Andrzeja Wajdy.

Widocznie nie ma nic dość pięknego, czego nie można by było dodatkowo upiększyć. Więc i ja tę wielką tradycję naszego teatru szkolnego uzupełniałem niekiedy swoją fantazją, opowiadając tu i ówdzie o gościnnych występach Ludwika Solskiego w naszym szkolnym teatrze (jako Wiarusa w *Warszawiance*). Ale niebawem uświadomiłem sobie (a może ktoś mi to uświadomił), że w tym miejscu pamięć moja fałszuje. Owszem, Solski występował na scenie we Włocławku w wymienionej roli, ale nie w teatrze szkolnym, lecz zawodowym – przyjezdnym.

W repertuarze naszego teatru szkolnego był jeszcze *Kordian* Juliusza Słowackiego z Jurkiem Krauze (kolega ze starszej klasy, późniejszy rektor Akademii Ekonomicznej w Poznaniu) w roli tytułowej. Przeczytałem ponownie ten dramat teraz (w dniu przyjazdu Papieża do Polski, w dniu papieskiego kazania we Wrocławiu na temat roli Kościoła jako stróża wolności także w XIX w.). Ten dramat, to wulkan namiętności, potępień, szyderstw, żalów i bluźnierstw na wszystkie strony rzucanych: na cara i Moskali, na gnuśnych przywódców Powstania Listopadowego, na mesjanistyczne złudzenia i urojenia, na papieża (papieża, a raczej papieży tamtych czasów), co walkę Polaków o wolność wyklinał.

Czytając ten dramat, myślałem i ciągle myślę o tym, jak oni (tzn. prof. Gniazdowski) mogli wtedy (1949?) *Kordiana* wystawić! A do wspomnień o teatrze dodać trzeba wspomnienia wykładów prof. Konrada Górskiego z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wygłosił cały cykl wykładów w sali Teatru Miejskiego. Sala zawsze była po brzegi wypełniona. Ja przyjmowałem te wykłady w nastroju szczególnym. Zwłaszcza utrwaliło się we mnie to podniosłe wrażenie z 2 wykładów: o bajkach A. Mickiewicza oraz o *Kordianie* właśnie. Z tego ostatniego wykładu zapamiętałem na trwałe jedno zdanie, którym prof. Górski objaśniał upadek Kordiana przed sypialnią cara i niedopełnienie przezeń patriotycznego czynu: nie starczyło mu już sił, bo całą energię zużył na gadanie! Tę sugestię od Słowackiego przejmie później Wyspiański w *Weselu*: „a pan gada, gada, gada”....., gdy czynu, czynu naród wołał!

Prof. Dominik Banaszak, łacinnik, chyba jeszcze surowszy od prof. Gniazdowskiego, rygorysta wielki; u niego nawet na najsłabszą trójkę trzeba było solidnie popracować. Toteż gramatyki łacińskiej nauczyłem się dość dobrze i to jest w mojej pamięci trwałe. Uczył też recytacji. Zawdzięczam mu trochę pamiętanych do dzisiaj tekstów łacińskich, ale i polskich, w szczególności duży fragment

Iliady. Uczyłem się na pamięć niektórych tekstów, gdym raz w tygodniu wędrował piechotą z Włocławka do Szpetala Górnego (ok. 7 km). Te spacery lubiłem m.in. z tego powodu, że wypełniałem je sobie tymi recytacjami. Ciekawe, że gdy teraz biorę do ręki tekst *Iliady*, to stwierdzam pewne, choć niewielkie niedokładności (deformacje) w mojej pamięci, ale są one już tak utrwalone, że nie mogę ich ruszyć.

Prof. Regina Banaszakowa nie była rygorystką i nie była nazbyt wymagająca, ale jednak wymagała. Nade wszystko wszakże kochała swój przedmiot, zachwycała się francuskim i wszystkim, co francuskie, i to się chyba uczniom udzielało, bo wielu z nas korzystało skutecznie z jej nauczania. Z tekstów, które z lekcji francuskiego zachowały się w mojej pamięci (z pewnymi deformacjami, które odnotowałem przy *Iliadzie*) wymienię Kartezjańskie reguły myślenia (z *Rozprawy o metodzie*), choć pochwalę się tylko pierwszą, wyjmując ją z pamięci, z mojej szkolnej pamięci z roku pewnie 1948: „De ne recevoir aucune chose pour vrai que je ne la connusse evidement etre telle” (Nie przyjmować żadnej rzeczy za prawdziwą, dokąd się sam nie przekonam, że ona taką jest). Bardzo to ważna zasada w życiu i myśleniu: mieć własne zdanie, nie być papugą. Ale na własne zdanie trzeba mocno pracować – zdobywać wiedzę i uczyć się ją analizować krytycznie. A poza tym, a może przede wszystkim, potrzebna jest dla wypracowywania własnego sądu odwaga, odwaga cywilna. Bo przecież bezpieczniej jest zgadzać się zawsze z innymi. A tu Kartezjusz nakłaniał do samodzielnego myślenia.

Zawsze wspominam w związku z Panią Banaszakową, która w gimnazjum była wychowawczynią naszej klasy, coś, co mnie wówczas dziwiło, a co dzisiaj, gdy zbliżam się do siedemdziesiątki, podziwiam sam (może niekiedy z nostalgią) – piękno młodych ludzi, jej zachwyty dla nas: „Jacy wy jesteście piękni!” Rozglądałem się wówczas wokół, a byliśmy wtedy w przyszczatym wieku... Niekiedy wdawała się z nami w polityczne dyskusje. Raz nawet na nasze wypowiedzi proustrojowe zareagowała gwałtownym wybuchem. Mógł to być rok 1948, może 1949, dokładnie nie pamiętam. Gdy mówię „nasze wypowiedzi proustrojowe”, to nie mam na myśli wszystkich uczniów, ale tych, z którymi ja się wtedy politycznie solidaryzowałem.

Już nie mam czasu dalej pisać, choć do napisania jest jeszcze bardzo wiele:

Powinienem jeszcze opisać inne znakomitości profesorskie, mianowicie profesorów: Włodzimierza Mrożewskiego, Zająca, Kutylową (przeurocza postać, jej osobista kultura była tak widoczna, tak bardzo ją czułem i widziałem, ale osobliwą cechą tej kultury była dyskrecja. To nie była grzeczność i uprzejmość na pokaz, nie do obnoszenia...). Nie wszystkich, których noszę we wdzięcznej pamięci, wymienię.

Zdarzały się też spotkania ze znanymi pisarzami. Gośćmi naszymi (czy to w szkołach, czy gdzie indziej) byli m.in.: Arkady Fiedler (w teatrze). Zaczął tak: Miołm wtedy czy cztery lata (taką miał wymowę). Wspominał o tym, jak zbie-

rał doświadczenia do napisania *Dywizjonu 303*. Lotnicy wzięli go na pokład samolotu i pokoziołkowali trochę, co podsumował słowami: Niech ich tam wszyscy święci mają w pamięci. Gustaw Morcinek (u Degenianek, tak nazywaliśmy – od nazwiska dyrektorki – żeńskie Liceum Marii Konopnickiej; wychowanką tego Liceum jest moja obecna koleżanka uniwersytecka, Pani prof. Teresa Skubalanka) mówił, że lubi pisać przy akompaniamencie mruczenia swojego kotka siedzącego na biurku. Takie nawyki są częstym zjawiskiem w świecie pisarzy: Goethe pisał na stojąco (widziałem w Weimarze przystosowany do takiego pisania, odpowiednio wysoki, pulpit. Schiller lubił zapach zgniłych jabłek, które trzymał w szufladzie swojego biurka. Balzac pił kawę („Żył 50 tysięcy filiżanek kawy. Umarł na 50 tysięcy filiżanek kawy”). Pił i pił tę kawę, żeby móc pisać także nocą, bo szkoda życia na spanie, a może dlatego, że musiał zarabiać, bo ciągle był w długach. Pełno takich ciekawostek we wspomniałym dziele Jana Parandowskiego *Alchemia słowa*. Jalu Kurek (spotkanie w muzeum). Pamiętam tylko drobiazg: pokazywał zapalniczkę z inicjałami AK i jakiś komentarz na ten temat wypowiadał, ale jego treści już nie pamiętam. W szkole natomiast słyszałem o jego powieści *Woda wyżej* (dotąd jej nie przeczytałem): woda wyżej, talent niżej.

Docierały do nas wtedy i podniecały tygodniki: „Kuznica”, „Odrodzenie”, „Tygodnik Powszechny”. Już z tamtego czasu pamiętam Stefana Kisielewskiego (Kisiela), w szczególności jego myśl (wtedy mnie ona oburzała, dzisiaj przyznając jej istotną rację), że masowy napływ elementu plebejskiego do obszaru kultury intelektualnej obniży tej kultury poziom. Ja tymczasem na ten Olimp pchałem się już wtedy, i to coraz bezczelniej. Czy teraz na tym Olimpie jestem? Nie, nie, wcale nie, ale go widzę. Co widzę? Nie o wszystkim, co widzę, mogę opowiedzieć. Dlaczego? Może dlatego, że się wstydzę...

Kisiel mnie nie tylko oburzał, także fascynował cały czas, również w latach mojej dorosłości. Najbardziej dla mnie uroczym świadectwem ostrości jego umysłu była polemika w „Tygodniku Powszechnym” (z lat 60. czy nawet 70., dokładnie nie pamiętam) z prof. Tadeuszem Kotarbińskim. Ten ostatni jako ateista marzył (napisał o tym gdzieś tam) o czasach, w których oświata powszechna osiągnie już takie wyżyny, że ludzie przestaną wierzyć w istnienie Mocy Nadprzyrodzonych, ale będą się jednak zbierać w świątyniach dla wspólnych wspaniałych przeżyć i zespoleń artystycznych. I oto w odpowiedzi pojawił się w „Tygodniku Powszechnym” felieton Kisiela pt. *Wolno psu na pana boga czekać*. Tu chwila przerwy w moim opowiadaniu, by Czytelnik mógł pomyśleć nad sensem tego tytułu. A teraz dalej, pierwsze zdanie tekstu Kisiela brzmiało: Wyjaśniam, że pies, to ja, a Pan Bóg, to Profesor Kotarbiński.

W „Kuznicy” królował w moich przedmaturalnych latach Stefan Żółkiewski, wtedy pierwszy herold marksizmu. Z tamtego czasu pamiętam jego nazwisko. Wtedy też docierać do mojej świadomości musiały strzępy informacji o Instytucie Badań Literackich. W jakiejś ówczesnej ankiecie napisałem, że w przy-

szłości chciałbym pracować w Instytucie Badań Naukowych, czyli na Olimp, na Olimp. Może ja tu nie o sobie piszę, ale o nas ówczesnych – zapyziałych, w rozwoju opóźnionych, przerastających wtedy latami i wzrostem swoje klasy. Możemy czuli to opóźnienie, może słyszeliśmy obiecujący głos przyszłego czasu, obiecujący kłamliwie...?

Powinienem też jeszcze powiedzieć o znakomitościach uczniowskich; tak, bo wśród uczniów też widziałem znakomitości i zazdrościłem im. Nie wstydzę się zazdrości, bo zazdrość, w odróżnieniu od zawiści, wiąże się z chęcią dorównania lepszemu. Więc istniały (w każdym razie dla mnie) osobistości uczniowskie w różnych dziedzinach szkolnego życia: w nauce (np., tylko np.: Andrzej Wójcik, Stefan Olszowski, Janusz Chałaszkiewicz); o życiu teatralnym (już mówiłem); w sporcie (ach, co to były za wyczyny, zwłaszcza drużyna siatkówki, choć nie tylko).

Może jeszcze należałoby odnotować moje wyrzuty sumienia wobec mojej szkoły, mojego GZK. Są takie? Są! Niektóre, na szczęście bardzo już nieliczne, do dzisiaj mi dokuczają, do dzisiaj się czegoś tam wstydzę. Czego, z jakiego powodu? A, tego to nie napiszę, bo właśnie się wstydzę. Ale nie wyobrażajcie sobie rzeczy nazbyt monstrualnych, nie! To były rzeczy małe, na uczniowską miarę, ale i małe rzeczy też mogą być zawstydzające: „mała rzecz a wstyd!” W późniejszych fazach życia, również w fazie profesorskiej, też przecież mi się wpadki przytrafiały, bo każdemu się trafiają.

STUDIA W MOSKWIE (1950–1955)

5 lat moich studiów w Moskwie należałoby podzielić na 2 podokresy. Okres pierwszy, to okres monotonii i nudów, drugi zaś to okres ubarwiony. Okres pierwszy to lata 1950–1953 (3 łącznie), okres drugi 1954–1955.

MOJE PIERWSZE LATA FILOZOFOWANIA W LUBLINIE

Po studiach na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Moskiewskiego (1950–1955) przyjechałem do Lublina ze skierowaniem do pracy w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Był brzydki wrzesień. Ja pierwszy raz w Lublinie. Okropne wrażenie robił dworzec i cała droga – piechotą przebyta – do centrum; nikogo tu nie znałem, siedłem, raczej lażłem, w mrok.

UMCS przeżywał wówczas okres drugiego pączkowania: po Akademii Medycznej powstałej (1952) z oddzielonego od UMCS Wydziału Lekarskiego, powstawała właśnie – z dotychczasowych wydziałów rolniczych UMCS – Wyższa Szkoła Rolnicza (obecnie Uniwersytet Przyrodniczy). Ówczesny rektor UMCS, prof. Bogdan Dobrzański – „Panie kuchanku” właśnie odchodził wraz z wydzia-

łami rolniczymi; następcą jego miał niebawem zostać ówczesny prorektor prof. Andrzej Burda. Do rektora się zgłosiłem ze skierowaniem do pracy, a on mnie przekazał prorektorowi, który mnie przyjął do pracy.

Doczepiono mnie do Katedry Podstaw Marksizmu-Leninizmu, bo filozofii nie było, a o istnieniu Katedry Logiki nic nie wiedziałem. W istocie rzeczy przez rok byłem bezpański. Pracowałem głównie w lokalu Katedry Ekonomii Politycznej, bo tam odnalazłem mojego znajomego, mgra Kazimierza Nowickiego (był wówczas kierownikiem tej Katedry), który pozwolił mi w ich lokalu u (przy placu Litewskim 3) pracować. Najspokojniej było w soboty i niedziele: sam sobie wtedy paliłem w piecu kaflowym i pisałem (siedząc plecami do pieca, bo wówczas w plecy było ciepło) na maszynie.

Byłem sam. Szukałem kogoś o zainteresowaniach filozoficznych. W Ministerstwie, wręczając mi skierowanie do pracy, wymieniono prof. Grzegorza Leopolda Seidlera. Zjawiłem się u niego, spotykając się z życzliwością. Nie pamiętam jak, ale dość szybko dotarłem do prof. Narcyza Łubnickiego przy ul. Skłodowskiej 2. Nie pamiętam pierwszego spotkania. Ale 3 epizody z pierwszego okresu tkwią mi w pamięci. Epizod pierwszy: gdy prof. Łubnicki obejrzał mój dyplom, w którym w rubryce „zawód” figurowało – „filozof” i pokazał to prof. M. Ziemnowiczowi, to obaj bardzo kręcili głowami. Epizod drugi: razem z Wiesławem Tchórzewskim (obecnie pracuje na Wydziale Nauk Politycznych UMCS) zaczęliśmy tworzyć jakieś koło filozoficzne (miała to być wielka rzecz), a na pierwszym zebraniu ja miałem odczyt, w którym rozprawiłem się z Kantowską etyką obowiązku. Nie jestem pewien, czy mieliśmy na tym zebraniu jakąkolwiek publiczność poza prof. Łubnickim, który – do dzisiaj się temu dziwię – jakoś cierpliwie zniósł moją rozprawę z Kantem. Epizod trzeci właściwie nie był już epizodem, ale początkiem długiej historii. W 1956 r. Profesor podjął działania na rzecz stworzenia (odtworzenia) Katedry Filozofii i zaczął się rozglądać za współpracownikami. W istniejącej wówczas Katedrze Logiki był tylko jeden etat asystencki, zajmowany przez Panią mgr Krystynę Głazowską (interesowała się filozofią matematyki, szczególnie geometrią nieeuklidesową). Prof. Łubnicki zapytał mnie, czy chciałbym kandydować na stanowisko asystenckie, a gdy odpowiedziałem twierdząco, tedy poprosił o tekst mojej pracy dyplomowej (magisterskiej); Dotyczyła pojęcia prawidłowości w filozofii Hegla (ja wtedy mówiłem, pisałem i myślałem heglowskim żargonem; jestem dzisiaj prawie pewien, że nikt mnie nie rozumiał, a niekiedy się zastanawiam, czy ja sam siebie rozumiałem); Po paru dniach Profesor zwrócił mi moje dzieło i – znowu (!) – kręcił głową; po latach, gdy już bliżej poznałem jego sposób myślenia, zrozumiałem dokładnie, co to kręcenie głową oznaczało.

No i przenieśliśmy się na Skłodowskiej 2, gdzie jeszcze przez jakiś czas współpracowałem (raczej współbyłem) z Panią Krystyną Głazowską; dzisiaj mam wrażenie, że ona była już „na odejściu”, gdy ja tam przychodziłem.

Zastąpiłem na Skłodowskiej jeszcze Panią Marysię Borkowską, która formalnie była woźną i gońcem Katedry, a faktycznie totumfackim: wszystko potrafiła załatwić, wszystkie adresy świata знаła, a o treści korespondencji, którą przez nią przekazywano, koniecznie trzeba było ją poinformować. Chodziła wtedy do szkoły zaocznej (nie pamiętam do której klasy) i studiowała zawzięcie książkę z matematyki pt. *Od tabliczki do różniczki*, co było dla mnie dość uciążliwe, ponieważ ciągle byłem pytany z matematyki, a w momentach mojej bezradności pocieszany, że bym się nie martwił – „nie każdy musi wszystko wiedzieć!”. Tak to trwało, dokąd przy sprawie rachunku różniczkowego nie okazało się, że mamy kłopoty z rozumieniem układu współrzędnych: zmęczeni więc przerwaliśmy te studia.

„Za nami przyszedli inni”, zdaje mi się, że w następującej kolejności: Leon Koj, Bohdan Dziemidok, Tadeusz Margul, Tadeusz Kwiatkowski, Jan Czerniawski (po kilku latach odszedł, zmarł w latach 60.), Zdzisław Czarnecki, Henryk Borowski.

Zajęcia z filozofii zaczęły się jesienią 1956 r. Nie pamiętam, pod jakim tytułem prowadziliśmy je wtedy. Zaczynaliśmy jednak te zajęcia w cieniu niechęci społeczeństwa do marksizmu-leninizmu. Tę niechęć częściowo przenoszono na nas, choć transfer tego uczucia był wyjątkowo sztuczny. Tak czy owak pewne, ale dość krótkotrwałe opory napotkaliśmy wśród studentów Wydziału Prawa; szybko minęły.

A czegośmy wtedy uczyli? O tym mówią skrypty i podręczniki, którymi się posługiwaliśmy. To warto przypomnieć. Więc w pierwszej kolejności funkcjonował skrypt Narcyza Łubnickiego *Teoria poznania* do użytku słuchaczy szkół wyższych (na prawach rękopisu), wydany przez Sekcję Wydawniczą Koła Pedagogiczno-Psychologicznego Studentów UMCS w Lublinie. W słowie „Od wydawców” czytamy: „Skrypt ten, będący pierwszą pozycją wydawniczą Koła Pedagogiczno-Psychologicznego Studentów Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, zawiera materiał z teorii poznania, wymagany do egzaminu magisterskiego z „Logiki, Metodologii i Teorii Poznania”, obowiązkowego dla „filozofów”, „psychologów” i „pedagogów”, oraz służyć ma w częściowym swym zakresie wszystkim zdającym egzamin z „Głównych Zasad Nauk Filozoficznych”. Skrypt został wydany w kwietniu 1948 r., wydrukowany techniką powielaczową. W 1958 roku ukazało się jego drugie wydanie.

Dalej szedł Wilhelma Wundta *Wstęp do filozofii* (korzystaliśmy z polskiego tłumaczenia pierwszego niemieckiego wydania z r. 1901). Używało się też Wilhelma Jeruzalema *Wstępu do filozofii* (pierwsze niemieckie wydanie 1906 r.); my korzystaliśmy z tłumaczenia polskiego z 10. wydania (1922).

Najbardziej użyteczne były jednak Kazimierza Ajdukiewicza *Zagadnienia i kierunki filozofii*, (wyd. Czytelnik, 1949 r.; kłopot jednak w tym przypadku polegał na tym, że egzemplarze można było nabyć tylko w antykwariatach.

Ambitniejszym wysiłkom dydaktycznym towarzyszyły Tadeusza Kotarbińskiego *Elementy teorii Poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* (pierwsze wyd. w 1929). Wszystkiemu, rzecz jasna, patronowała Władysława Tatarkiewi-

cza *Historia filozofii*. Tak rzecz się miała do 1960 r. W latach 1958–1960 ukazał się dwuczęściowy podręcznik Adama Schaffa (teoria poznania) i Władysława Krajewskiego (ontologia) pt. *Główne zagadnienia i kierunki filozofii*, który wprowadził pewną jednolitość w dydaktyce filozoficznej, która także była ujednoczeniem ideowym (indoktrynacyjnym).

Takie były początki mojego osobistego powiązania z Katedrą Filozofii UMCS, które później miało i ma swoją kontynuację w mojej obecności w Instytucie Nauk Pedagogicznych i Filozoficznych, dalej – w Międzyuczelnianym Instytucie Filozofii i Socjologii, a wreszcie na Wydziale Filozofii i Socjologii.

Nie jestem jeszcze przygotowany do szczegółowych wspomnień i samorozliczeń. Obecnie po prostu łatwiej mi spojrzeć na przebytą razem z całym środowiskiem filozoficznym UMCS drogę w sposób skrótowy, syntetyczny.

Ile to już pokoleń? Policzmy. Najpierw uwaga: pomijam w poniższym wyliczeniu „prehistorię”, czyli lata 1944–1955, która ma bardzo doniosłe znaczenie w całych dziejach filozofii na UMCS. Wtedy poza Narcyzem Łubnickim byli tu: Jerzy Słupecki (logika), Ludwik Fleck (mikrobiologia, ale trwalszy okazał się jego dorobek w zakresie właśnie filozofii), Stefan Harasiek, Tadeusz Tomaszewski (psychologia).

WIĘC POKOLENIA:

Pierwsze pokolenie było zbiorem jednoosobowym – prof. Narcyz Łubnicki. Człowiek wiele uczony, erudyta, znawca historii filozofii, purysta językowy (błąd językowego popelnąć nie mógł!), znawca literatury rosyjskiej. Z poglądów i przekonań humanista i demokracja, z charakteru rygorysta i formalista nawet. Przez cały czas współpracy czuliśmy się (my wtedy młodzi) autentycznie równi z nim w dyskusjach naukowych, ale bezwzględnie podwładni organizacyjnie. Tu dyskusje czy perswazje były bez szans: *Roma locuta, causa finita!* Ta swoboda dyskusji merytorycznych była dziwna nie tylko ze względu na apodyktyczność jego charakteru i związany z tym rygorystyczny organizacyjny; była dziwna także dlatego, że Profesor miał – tak mi się wydawało dawniej i tak sędzę teraz – bezgraniczne poczucie pewności swoich przekonań; miałem i mam wrażenie, że był człowiekiem bez rozterek, ale czy to możliwe? Może jednak pozory mnie zwodziły? Pokolenie moje (obecnie jesteśmy seniorami) było już wieloosobowe. Pracowaliśmy, współpracowaliśmy i żyliśmy ze sobą w zasadzie zgodnie. Lata 80. trochę nas politycznie poróżniły, ale zdaje się, że w miarę zbliżania się do emerytury sprawy te raczej błędne. Przelotnie był z nami (dojeżdżał do nas z Uniwersytetu Warszawskiego na zajęcia z logiki przez kilka lat) dr (obecnie profesor) Zdzisław Ziemia, doskonały logik i mistrz gry „na gębie”. Na jego pożegnanie odbyło się uroczyste posiedzenie Katedry, w czasie którego odbył się wspólny koncert. Powagę uroczystości zakłóciło niestosowne zachowanie Tadeusza Margula, który – nie wiadomo z jakiego powo-

du – pokładał się ze śmiechu, aż wreszcie spadł ze stołka na podłogę. Słusznie więc został skarcony przez Kierownika Katedry.

Pokolenie trzecie – już bardzo liczne – zaczęło się kształtować w końcu lat 70. (byli wtedy adiunktami). Dużo energii poświęcili na działalność ideowo-polityczną (stąd dzisiejsza ich satysfakcja, ale i odpowiedzialność, nie wolna od rozczarowań i rozterek; zwykli to los ludzi żarliwych, którym realizują się ideały). To pokolenie przejęło główną odpowiedzialność za Wydział z chwilą jego powołania. Moje pokolenie ma swój istotny udział w powstaniu Wydziału, ja osobiście (jako rektor Uniwersytetu) Wydział ten powołałem; trzecie pokolenie nim kieruje i tworzy jego przyszłość.

A na zapleczu już stoją 3 następne pokolenia: obecni adiunkci (których część należy wiekowo do pokolenia trzeciego, z nim zespolona jest więzami koleżeńskimi, co obok zalet może też mieć pewne mankamenty); niepokojąco nieliczni asystenci; i wreszcie bardzo liczni nasi najlepsi studenci, a niebawem absolwenci. Tym ostatnim trzeba otworzyć drzwi do ich przyszłego zawodu, w którym powinni choć w jakimś stopniu spożytkować swoje wykształcenie filozoficzne.

Poważny ciężar odpowiedzialności spoczywa więc na trzecim pokoleniu. Oby sobie poradzili. Zarówno ja, jak i pozostali moi koledzy z drugiego pokolenia gotowi jesteśmy pomagać. Wysiłek powinien być skierowany na odtwarzanie i tworzenie atmosfery wspólnotowej na Wydziale, opartej na rzeczowych wymaganiach naukowych i pedagogicznych.

A co z moją filozofią, czyli z własną robotą filozoficzną? „Za piecem”, przy placu Litewskim 3 wystukiwałem teksty dotyczące dwóch tematów – przyczynowości (z tego powstała pierwsza moja publikacja naukowa), oraz – XI tezy Marksa o Feuerbachu. Tekst o XI tezie mi się podobał na tyle, że szukałem kogoś, kto by go kompetentnie przeczytał i docenił. Pojechałem do Warszawy (gdzie nikogo ze środowiska filozoficznego nie znałem) i szukałem w Pałacu Kultury (siedziba Akademii Nauk) jakiejś tabliczki sygnalizującej zakład czy katedrę filozofii. Znalazłem „Katedrę Materializmu Dialektycznego”, a za drzwiami z tą tabliczką był prof. Czesław Nowiński, który mój tekst zechciał przyjąć, zachwycony nie był, ale docenił i zatrudnił mnie (z kilkumiesięcznym terminem wstecznym) na ryczałcie. Była to pierwsza moja praca dodatkowa. Pierwsza wypłata (łącznie z miesiącami wstecznymi) wystarczyła na 2 garnitury i wspaniały kostium dla narzeczonej (żona później mi te pieniądze zwróciła z nawiązką).

Dość wcześnie, bo już w 1956 r. (chyba jesienią) zacząłem się wadzić z KUL-em. Był Tydzień Filozoficzny: wysłuchałem wszystkich wykładów (m.in. ks. prof. Kazimierza Kłósaka i ks. prof. Stanisława Mazierskiego, który w moich latach szkolnych uczył mnie religii we Włocławku) i opublikowałem w „Sztandarze Ludu” serię artykułów polemicznych; ciągle mam wrażenie, że były to niezłe teksty, *mea culpa!* Raz jeden byłem też na wykładzie docenta (?) Karola Wojtyły, ale nie pamiętam ani tematu, ani dokładnego wrażenia.

W „Tygodniach Filozoficznych” KUL-u uczestniczyłem później wielokrotnie – raz jako referent, wiele razy jako dyskutant. Jedno wspomnienie warto jest odnotować. W czasie jednej z tych imprez po referacie profesora Tadeusza Jaroszewskiego z Warszawy jeden z ówczesnych profesorów KUL-u (nazwiska nie wymienię, bo może by tego wspomnienia sobie dzisiaj nie życzył) stwierdził, że tomiści mają piękną koncepcję człowieka, marksiści zaś równie wspaniałą teorię społeczeństwa, więc powinni się połączyć we wspólny front przeciwko pozytywizmowi. Jaroszewski był jakby za! A ja pomstowałem: „nigdy z tomizmem, a już przynigdy z tomizmem przeciwko pozytywizmowi!”

Pierwszą moją publikacją centralną (warszawską) był niewielki tekst w „Nowej kulturze” (1951/1956) pt. *Filozofia, filozofowie i stalinizm*. Ale to były drobiazgi; czas tymczasem płynął i trzeba było decydować o sprawach poważnych – być albo wybyć! Pisać doktorat albo zwijać manatki i szukać jakiejś formy osobistego bytu poza uniwersytetem; poważnie się nad tym zastanawiałem. W końcu okoliczności podsunęły mi temat. Październik był wówczas miesiącem „przyjaźni polsko-radzieckiej”, a zarazem miesiącem inauguracji działalności odczytowej Towarzystwa Filozoficznego, w związku z czym pierwszy odczyt poświęcało się corocznie filozofii radzieckiej właśnie; zwykle dotąd wygłaszał go prof. Łubnicki. W 1957 r. taki odczyt zaproponowano mnie. Nie pamiętam dokładnego jego tytułu, ale z niego właśnie wyłonił się temat przyszłej mojej pracy doktorskiej i tytuł przyszłej książki – *Treść poznawcza wrażeń zmysłowych* (1962). Temat w istocie rzeczy sięga korzeniami aż do Kanta, a jednak z filozofią radziecką miał ten związek, że był w niej (na początku lat 20.) przedmiotem bardzo ostrych sporów, których relacja i analiza zajmuje znaczące miejsce w wymienionej książce. Ciekawy szczególnie związany z doktoratem (obrona miała miejsce w marcu 1960) i z tą książką: w dniu, w którym dowiedziałem się od Promotora, że akceptuje pracę, zapukał ktoś do drzwi mojego mieszkania; był to pan redaktor Macheta z „Książki i Wiedzy”, który przyjechał „w teren” żeby zobaczyć, czy nie ma tu czegoś do publikacji. Ktoś w Warszawie (już tam byłem trochę zdomowiony, głównie przez seminarium prof. Nowińskiego) podpowiedział mu mój adres. I to był początek drogi do publikacji mojej pierwszej książki.

Bywali u nas (z wykładami lub na spotkaniach): Janina i Tadeusz Kotarbińscy, Władysław Tatariewicz, Roman Ingarden, Bohdan Suchodolski, Stefan Świeżawski, Tadeusz Czeżowski, Adam Schaff, Klemens Szaniawski, Jerzy Pelc, Marek Fritzhand, Jan Legowicza w czasie Zjazdu Filozofii Polskiej (1977) liczni przedstawiciele wszystkich ośrodków filozoficznych w kraju.

Ingardena po raz pierwszy spotkałem około 1956 r. Miał referat w PTF o pojęciu przyczynowości. Nie pamiętam, aby później składał nam jeszcze wizyty. Spotykałem go w Warszawie. Pamiętam jego odczyt w Warszawie o Edmundzie Husserlu. Wszyscy dostrzegli wzruszenie Prelegenta, gdy mówił o swoim mistrzu i gdy wspominał/wypominał (delikatnie) nietatwe losy fenomenologii w Polsce –

tak powojennej (marksistowskiej), jak i przedwojennej (Iwowsko-warszawskiej).

Po śmierci Ingardena (1970), na posiedzeniu ZG Polskiego Towarzystwa Filozoficznego (prezesował wtedy Kotarbiński) wygłosił mowę Władysław Tatariewicz. Jedną myśl z tego pięknego prostotą przemówienia zapamiętałem: Roman Ingarden nie był uczonym erudytą, ale to co znał, znał doskonale. W czasie tego uroczystego zebrania przypadek (może to był przekorny duch Zmarłego) zakłócił powagę momentu żałobnego: gdyśmy wszyscy stali ze skupieniem czcząc Jego pamięć, drzwi się nagle rozwarły, a wraz z nowym przybyszem wtargnęła na salę skoczna muzyczka; ktoś podbiegł do spóźnialskiego i tranzystor w jego teczce został wyłączony.

Ajdukiewicz nas w Lublinie nie zdążył odwiedzić (zmarł w 1963). Wspominam 2 konferencje przezeń organizowane, w których uczestniczyłem. Jedna z nich (1960) była wydarzeniem międzynarodowym. Dotyczyła natury naukowego uzasadniania. Był Alfred Tarski (była to chyba jedyna jego wizyta w Polsce po wojnie), choć zdaje mi się, że w ogóle głosu nie zabierał. Uczestniczył w tej konferencji aktywnie – jako referent oraz jako przewodniczący jednej z sesji – Andriej A. Markow, ten od algorytmów; nie mylić go z jego ojcem – też Andriejem A. Markowem (łańcuchy logiczne). Markow z sztywnością odnosił się do uprawianej wówczas w Związku Radzieckim „logiki dialektycznej”, a jeden z radzieckich referatów właśnie o tej logice traktował. Wygłaszano go właśnie na sesji, której przewodniczył Markow – przewodniczący referenta zniszczył; dyskusja wydawała się zbędna.

Drugie moje żywsze wspomnienie Ajdukiewicza wiąże się z jego jubileuszem w 1960 r. Kotarbiński prowadził zebranie: „Profundystą jesteś Kazimierzu, profundystą!”, oto, co zapamiętałem z jego przemówienia. Roman Suszko mówił o Ajdukiewiczu jako wybitnym logiku, który współtworzył całą wielką epokę logiki polskiej, kiedy polska logika łączyła w sobie twórczo rzemiosło i myśl filozoficzną. Ubolewał, że następne pokolenie polskich logików odchodzi od filozofii, zamykając się w samym rzemiośle. Ajdukiewicz – logik-filozof – wtedy to właśnie dworował sobie z filozofii; odpowiadając na mowę jakiegoś historyka filozofii, wznosił toast za pomyślność historii filozofii: filozofia – mówił – to przecież stek bzdur, ale historia filozofii – to niewątpliwie nauka, bowiem historia czegokolwiek, także historia bzdur, jest nauką.

Kotarbiński był wielokrotnie. Jeden z jego odczytów utrwalił mi się szczególnie. Mogło to być w latach 60. W odczycie odwagę i dobroć serca uznał za cnoty bezwzględne. Prof. Łubnicki sprzeciwił się mu, twierdząc, że w niektórych wypadkach dobroć serca może być wadą, mianowicie wtedy, gdy babcia z dobroci serca rozpieszcza, więc psuje wnuka. Na to Kotarbiński tym swoim nieco pikliwym i zaciągającym głosem: ależ Panie Profesoorze, babcia nie psuje wnuka z dobroci serca, ale z głupooooty!

Państwo Kotarbińscy wraz z Tatarkiewiczem złożyli nam na UMCS wizytę w początku lat 70. Spotkali się ze wszystkimi pracownikami. Obaj panowie mieli już wtedy ponad 75 lat. Ja byłem w rozterce, komu z nich pierwszemu udzielić głosu. Kłopot zdjął mi z głowy Kotarbiński, udzielając sobie pierwszemu głosu „jako starszemu”; wprawdzie tylko o 4 dni, ale jednak! I to prawda: Kotarbiński urodził się 31 III 1886, a Tatarkiewicz 3 IV. Różnica wieku ujawniła się także wtedy, gdy zapytałem, co podać – herbatę, czy kawę? Kotarbiński – herbatę, herbatę, Tatarkiewicz – kawę, kawę!, herbatę na starość będą pił!

Tatarkiewicz był naszemu środowisku wzruszająco życzliwy, choć czasami skłonny jestem sądzić, że ten jego piękny do nas stosunek był powszechną postawą jego pięknej – życzliwej i otwartej – osobowości. Szczególną życzliwość kierował ku estetykom, więc ku Bogdanowi Dziemidokowi, Ewie Borowieckiej. Ufundował nagrodę dla naszego Instytutu z przeznaczeniem na wyróżnienie nią pracy z dziedziny estetyki (Kto ją dostał? Nie pamiętam). Osobiście poczułem się wyróżniony (choć nie osobiście zapewne na to zasłużyłem) zaproszeniem na uroczystość wręczenia Komandorii Orderu Legii Honorowej, przyznanej Profesorowi przez Prezydenta Francji. Była połowa lat 70. Profesor zaczął mowę w rezydencji ambasadora Francji zaczął od wspomnienia pierwszej podróży do Paryża: „Pamiętam jakby to było wczoraj...”; a było to jeszcze w wieku XIX w.

Świeżawskiego zaprosiliśmy na zebranie (nie pamiętam tylko, czy to było zebranie Instytutu, czy PTF) z odczytem na temat relacji między kompetencją filozofa a kompetencją historyka filozofii. Między starszymi a młodszymi toczył się u nas spór o to, czy kompetencja filozoficzna (albo: określone pojmowanie tego, co jest i co nie jest filozofią) stanowi warunek dobrego uprawiania historii filozofii. O ile pamiętam, młodsi nasi koledzy nie chcieli uzależniać kompetencji historyka filozofii od postawy filozoficznej, starsi zaś przeciwnie. Konkluzja referatu Świeżawskiego była korzystna dla nas starszych, ale pamięć moja może być stronicza.

Schaff był dwukrotnie recenzentem w moich przewodach – doktorskim (1960) i habilitacyjnym (listopad 1962). Ten drugi przypadek był związany z pewnym szczególnym drobiazgiem. Otóż w tym czasie szykowana była wizyta Chruszczowa w Paryżu i w związku z tym – przed ową wizytą – w Moskwie otwierano jakąś wystawę francuską (malarstwa francuskiego?). W dniu mojego kolokwium habilitacyjnego rano jeden z kolegów powiedział mi, że Schaff nie przyjedzie, bo jest w Moskwie, gdzie właśnie w imieniu UNESCO otwierać ma ową wystawę. Schaff jednak przyjechał, bo wystawa miała być otwarta 2 dni wcześniej, tylko tę uroczystość chciano opóźnić (wtedy byłaby kolizja Moskwy z Lublinem). On jednak zagroził, że wyjedzie z Moskwy bez otwarcia wystawy i stało się tak, jak miało być, moje kolokwium odbyło się zgodnie z planem.

BOHATEROWIE MOJEJ PIERWSZEJ ZAGRANICY

Celem pierwszej mojej zawodowej podróży zagranicznej była znowu Moskwa (w 1958), ale 3-miesięczny pobyt tam, to była prawie wyłącznie praca w bibliotece. Było to ważne dla przygotowania mojej pracy doktorskiej, a poza tym monotonia. Nie ma co tu wspominać w odróżnieniu np. od 2 ostatnich lat studiów (1953–1955), o czym kiedyś – przy innej jednak okazji – opowiem.

Ze względu więc na swoistą banalność wyjazdu moskiewskiego z 1958 r. za pierwszą intelektualną przygodę zagraniczną mam ochotę uznać swój pobyt w Paryżu (listopad 1961 – luty 1962). Było to stypendium rządu francuskiego. Celem był staż naukowy w Ecole Pratique des Hautes Études en Sciences Économiques et Sociales, zwanej też Szóstą Sekcją Sorbony.

Pojechałem do Paryża z prof. Łubnickim. Widzę nas obu, siebie jako giermka, gdy wlecemy się w słotny dzień (był listopad) przez dziedziniec ambasady polskiej w Paryżu, godnie informując woźnego zastępującego nam drogę, że kroczymy „chez monsieur Ambassadeur”. W końcu dotarliśmy do sekretariatu attache kulturalnego, a był nim wtedy Tadeusz Breza, który po dość długim naszym antychambrowaniu wyskoczył ze swego gabinetu i rzucił się na prof. Łubnickiego z pytaniem: „miłość czy interes?”. Aż podskoczyłem, tak mnie to pytanie zaskoczyło i tak mi się spodobało; nie pamiętam nic więcej z tej wizyty, ale nie pamiętam, czy jakkolwiek określony interes nas wówczas do ambasady ciągnął.

A pobyt mój cały w Paryżu – jak Galia Cezara – dzielił się *in partes tres*: sam Paryż, dwie biblioteki i wykłady wraz z seminariami. O części pierwszej, czyli o Paryżu jest to i owo do opowiedzenia (nawet jakieś anegdotki), ale nie teraz i nie tutaj. O bibliotekach wspomnę tylko, że pracowałem w dwóch – w Sainte Genevieve (na wzgórzu o tej samej nazwie; tu kiedyś nauczał Abelard) oraz w Biblioteque Nationale. Część trzecia – to Sorbona z odbywającymi się tam wykładami: Georges Gurvitcha – Społeczne warunki poznania i moralności, Herberta Marcusego – Filozofia Hegla a problemy społeczne, Luciena Goldmana – Myśl filozoficzna młodego Marksa, Raymonda Arona – Filozofia polityki i V. Jankwévitcha – Filozofia religii. Wykłady odbywały się w aulach Kartezjusza lub Richelieu. Z wyglądu postacią barwną był Jankwévitch – głęboko osadzone oczy osłaniane stogami brwi, wielka szewelura w daleko posuniętym szronie, na sali przeważnie staruszki z całego Paryża, a przedmiotem wykładów – mistycyzm. Bardzo żywo prowadził swoje wykłady Gurvitch, ciągle komuś wygrażając; dość często adresował swe polemiki do Jeana-Paula Sartre’a, a niekiedy do profesorów siedzących na sali: „siedzi tu oto mój wspaniały przyjaciel, ale, proszę Państwa, co on za bzdury wypisuje...”.

Ciekawsze od wykładów były seminaria, prowadzone przez Gurvitcha, Goldmana i Marcusego; każdy z nich uczestniczył w seminariach 2 pozostałych, więc można powiedzieć, że było to ich wspólne seminarium. Gurvitch – to była wielka

socjologia, socjologia o wyraźnym oddechu teoretycznym, nakładająca się na filozofię. Żyd rosyjskiego pochodzenia i rusofil, rewolucjonista (członek partii Eserów, wypędzonych na początku lat 30. z Rosji Radzieckiej przez Stalina). W seminariach i wykładach odczuwało się zarówno jego ciągle żywy rewolucyjny zapal, jak i nastawienie rusofilskie. Były to czasy OAS, która broniąc „Algierii francuskiej” „plastykowała” Paryż, czyli podkładała dynamit, a młodzież ciągle manifestowała pod hasłem „OAS – assassins!” Straszono ludzi, grożono. Gurvitch też dostał list od OAS, który odczytał na jednym ze spotkań seminaryjnych – ostrzegano go, „człowieka wiadomego pochodzenia”, żeby się nie wtrącał do „nie swoich spraw”, bo... List odczytał, dodając, że jeśli ktoś się boi „plastykowania”, to proszę bardzo, on rozumie...

Marcuse, wielki uczeń Martina Heideggera (i jeden z pierwszych, który mistrza swego stanowczo wzywał przed sąd sumienia z powodu jego hitlerowskiego epizodu (epizodu?)), już wtedy autor *Erosa i cywilizacji* (1955), ale jeszcze nie „M” z młodzieżowych barykad 1968 r. (MMM: Marx, Mao, Marcuse!). Na jednym z seminarium dyskutowano problem dialektyki, w tym dialektyki przyrody. Sprzecali się trochę ze sobą dwaj lubliniacy: prof. Łubnicki dowodził, że mówienie o dialektyce bytu jest trywialnym nieporozumieniem, złym zastosowaniem pojęcia „dialektyka”, które zawsze odnosiło się tylko do sfery myślenia; młody marksista (czyli Z. C.) popisywał się przeciwstawnymi tezami. Poparł go właśnie Marcuse.

Goldmann – filozof marksizujący, ale niezależny, zafascynowany zwłaszcza myślą młodego Györgya Lukácsa, a jednocześnie stanowczo przeciwny marksizmowi oficjalnemu – państwowemu czy partyjnemu. Zaproszeni zostaliśmy kiedyś z prof. Łubnickim do niego do domu. Stajemy przed drzwiami, dzwonimy, dzwonimy, a tu nic i nic. Gdy już w zakłopotaniu zaczynamy spoglądać ku schodom (bo to było na którymś piętrze), drzwi się otwierają i Goldmann – z jego kopiastą i oszronioną już czupryną – zakłopotany wita nas półprzekleństwem: *Diable, tire-bou-chon s'est niché on ne sait ou!* Na to prof. Łubnicki: „Ależ nie ma sprawy, ja korkociąg mam ze sobą” i wyciąga scyzoryk z korkociągiem, no domyślcie się, Państwo, jaki. Goldmann machnął ręką z pożałowaniem, zaprosił nas do środka, prawdziwy korkociąg jakoś się znalazł, więc wino popijaliśmy, a że to było wino francuskie, tedy pił także prof. Łubnicki, który nigdy żadnego alkoholu do ust nie brał, ale – jak wiadomo – wino francuskie, to przecież nie alkohol.

A plotkowaliśmy filozoficznie („-śmy”, choć ja byłem bardziej publiką niż aktorem), tzn. na temat Rogera Garaudy, którego Goldmann serdecznie nie znosił – jako marksistowskiego dogmatyka, a na domiar dogmatyka partyjnie zdyscyplinowanego. Ale, i na to zwracał uwagę prof. Łubnicki, przecież Garaudy wtedy zaczynał już swoją rewizjonistyczną pieśń, bo pisał otwarcie i pięknie o „realizmie bez granic”, o egzystencjalizmie nowatorsko i dialogowo (choć z wyraźnymi kamykami w ogródek dogmatyków i funkcjonariuszy Kościoła katolickiego) o Teilhardzie de Chardin,... „Bo mu kazali...”, podsumował dyskusję Goldmann.

Na razie dosyć. Więcej później i przy innej okazji, bo w Paryżu byłem wielokrotnie (3 razy po pół roku), byłem także wielokrotnie w USA oraz w innych krajach.

SUMMARY

The text written by Zdzisław Cackowski has a retrospective character. Professor good-naturedly and in a humorous way describes some fragments of his life, especially his primary school memories, Moscow studies, early years in Lublin, and years in Paris on the traineeship. The whole story is accompanied by intellectual adventures and their “heroes”, who in a significant way formed his philosophical views and confirmed the rightness of the choice of philosophy as a way of life.